

Ze wspomnień

NA DWU KRAŃCACH POLSKI

Na początku listopada odwiedził nas stryj mojej żony, proponując mi wyprawę na dziki. Miałem jeszcze kilka dni urlopu i od jesieni byłem członkiem PZŁ. Decyzja stała się, że jedziemy w początku grudnia w zespole: stryj Staś, Totek, Maciek i ja. Po uzyskaniu zezwoleń na odstrzał wyruszamy pociągami do Rzeszowa, skąd autobusem na autostradę.

Po zgłoszeniu się w nadleśnictwie zaznaczono nam, że mamy zezwolenia tylko na dziki, więc do innej zwierzyny nie wolno strzelać. Po przenocowaniu w gajówce na słomie, rano zorganizowaliśmy czterech naganiaczy i zaczęliśmy penetrować las.

Knieja, której nie znam, nie daje mi tych emocji, co znajoma, z wiadomymi mi przesmykami. W trzecim miocie na 10 kroków przyszedł do mnie młody lis i zupełnie się mnie nie bał. Robiło to wrażenie, że naigrawa się ze mnie, wiedząc, że nie mogę do niego strzelać. Tego dnia dzików nie spotkaliśmy.

W drugim dniu polowaliśmy w obwodzie znanym kołegom z poprzedniej bytności. Prowadzący powiedział mi, że mam zająć stanowisko na rogu miotu. Gdybym zobaczył, że dziki wyszły z naszego miotu bokiem do sąsiedniego, to mam natychmiast opuścić stanowisko i zabiec im drogę od strony pół oraz stanąć przy drugim krzaku. Ponieważ w chwilę po okrzykach naganki zobaczyłem, jak w odległości 200 kroków od mojego stanowiska przeszły linie dwa grube dziki i dwa warchlaki, natychmiast wykonałem otrzymane polecenie. Po kilku kwadransach dziki wyleciały galopem z lasu, ale przy pierwszym krzaku, a nie przy tym, przy którym ja stałem. Na strzał z dubeltówki było daleko.

Po południu musieliśmy wracać, ale pełni nadziei, bo za dwa dni jedziemy na Mazury. Łatwo to powiedzieć, czy napisać, ale to była wyprawa. Pociągi wtedy chodząły wolniej i droga nasza prowadziła przez Warszawę i Olsztyn do Nidzicy. Dalej furmanką do leśniczówki. Po przyjeździe na miejsce serca nam odżyły. Pan leśniczy starszy człowiek, szpakowaty, w dobrej kondycji, znający knieję i polowanie, opowiadał nam o swoim obwodzie i jego możliwościach.

Dowiedzieliśmy się, że możemy zaangażować czterech chłopaków z pracowników leśnych i że mamy do dyspozycji 9 tys. ha lasu oraz własne nogi.

Następnego dnia rano leśniczy poszedł z nami i dopiero około południa natrafiliśmy na pierwszy trop dzików. Wobec tego naganka została na miejscu, a myśmy mieli z drugiej strony obstawić 20 hektarowy oddział z młodnikami w środku. Ledwo weszliśmy na linię, na której mieliśmy się rozstawić, leśniczy mówi: panie, biegnij pan szybko, bo słyszałem, że dziki ruszyły i na pewno wyjdą tamtym rogami. Po mniej więcej 200 krokach jestem na rogu miotu. Ładuję strzelbę i słyszę, że las dudni, jakby jechała kawaleria. Zanim ochłonąłem, z młodnika wypadł mi pod nogi warchlak, którego pułuję. Przypomnie przeładowuję strzelbę i widzę w odległości 20 kroków w lewo, jak wspaniały odniedź z wyraźnym orzechem przesadza linię. Niestety, za nim na środku linii stoi zasapany pan leśniczy, za moment z krzaków, na polankę w prawo od mojego stanowiska w odległości 37 kroków w potężnych susach wypada locha. Całkiem spokojnie prowadzi ją i oddaje dwa strzały. Kto mnie wszystko cichnie

i stoje zmartwiał. Po chwili zjawiają się koledzy. Leśniczy przeprosza mnie, za to że nie miał siły, żeby odskoczyć z linii. Natomiast Totek żąda wyjaśnienia moich strzałów. Warchlaka spuściłem, bo brenka trafiła w sosenkę, a na tropie łochy widzimy silną farbę. Totek stwierdza, że strzał musiał być spóźniony, na płuca, bo farba jest jasna pęcherzykowata. Po godzinie poszliśmy tropem i po kilkunastu krokach dostrzeliliśmy łochę.

Był to mój pierwszy w życiu strzelony dzik. Totek z całym ceremoniałem podał mi złom i koledzy malowali mnie nalezycie.

Jak to się często zdarza, nowicjuszom szczęście sprzyja. Następnego dnia już pod wieczór wzięliśmy miot, w którym były parasole świerkowe. W parę minut po zajęciu stanowiska posłyszałem, że biegnie coś w moim kierunku truchtem. Był to 20-kilogramowy warchlak, którego strzeliliśmy z przyrządu na komorę i został w ogniu.

Następnego dnia w drodze powrotnej w Olsztynie uzyskaliśmy zezwolenia na ponowne polowanie w tym samym obwodzie w styczniu. Wobec tego doszło do ponownej wyprawy, ale tylko w trzech, bo Maciej nie otrzymał urlopu. Po przyjeździe na miejsce trafiamy na dosyć grubą pokrywę śnieżną i kilkunastostopniowy mróz.

Pan leśniczy nie może iść, ale za to ofiarowuje się do naganki pani leśniczyna i zabiera dwa psy, które podobno już były na polowaniu i są przydatne.

W pierwszym miocie na stanowisku nr 1 staje stryj Staś, Totek na stanowisku 2, a ja mam zająć stanowisko nr 3. Stoimy wszyscy na szerokiej linii, a przed nami jest mieszaný młodnik. Przed moim stanowiskiem, trochę w lewo, jest wyrośnięta, zaniedbana szkółka leśna, bardzo gesta. W pewnym momencie wyraźnie słyszę, że ze szkółki dochodzi bardzo głośne chrapanie. Po paru minutach widzę, że stryj Staś się składa i w tym momencie na linię koło niego wyskakują psy, które odprowadziły mu dzika. Słyszę jak stryjasek przeklina i zwołuje Totka i mnie ze stanowiska.

Tymczasem chrapanie w szkółce nie ustaje. Idę szybko do sąsiadów i opowiadam im co słyszałem. Po prostu błagam, żeby przestali przeklinać i uspokoił się. Po kilku minutach ustaliśmy, jak się potem okazało, błędny plan działania. Pani leśniczyna i jeden z naganiaczy biorą psy na sznurki i idą ponownie przegonić miot z tym, że jeden przejdzie przez szkółkę. Po kilku chwilach słyszę głos psa i naganiacza stwierdzającego, że dzik poszedł. Jak się potem wyjaśniło, to dzik spał w mrowisku. Pies zacerpił sznurkiem o gałązkę, dzik się zbudził i umknął swoim tropem wejściowym. Nie miałem wtedy dostatecznej praktyki, że w takim przypadku trzeba postawić myśliwego na tropie wejściowym i pędzenie trzeba było prowadzić w przeciwnym kierunku.

Następnego dnia obstawiliśmy miot, w którym była kilkunastotona polana po pożarze lasu. Zanim zdążyłem dojść do stanowiska, widziałem piękną watahę kilkunastu dzików, umykających brzegiem polany. Niestety, nie zdążyłem zabiec im drogi i do strzału nie doszedłem.

Było to moje ostatnie polowanie na Mazurach.